

http://www.rp.pl/artukul/484605_Powodz___spotkanie_natury_z_polityka.html

Powódź – spotkanie natury z polityką

Grzegorz W. Kołodko 25-05-2010, ostatnia aktualizacja 25-05-2010 00:19

Rząd powinien sięgnąć po specjalne jednorazowe instrumenty fiskalne w postaci swobodnego podatku solidarnościowego nałożonego na lepiej uposażone warstwy społeczeństwa – pisze wykładowca Akademii Koźmińskiego, były wicepremier



Źródło: Rzeczpospolita
Grzegorz W. Kołodko

Spoleczno-ekonomiczne konsekwencje powodzi są poważne. To kataklizm nie tylko przyrodniczy, bo i człowiek, a dokładniej nieudolna polityka rządów oraz brak stosownej zapobiegliwości niektórych samorządów, ma w tym swój udział. Sprawność i oddanie służb ratowniczych powinny wzbudzać uznanie, a na pewno wywoływać mniej negatywnych ocen niż działania prewencyjne, które gdyby tylko dobrze były prowadzone, mogłyby wielu stratom materialnym i ludzkim dramatom zapobiec.

W ramach „oszczędności” i cięć „nadmiernych wydatków budżetowych” w ostatnich kilku latach zaniechano wielu prac renowacyjnych oraz inwestycji regulujących gospodarkę wodną, także tych mających służyć poprawie infrastruktury chroniącej nas przed zagrożeniami powodziowymi. A te – jak wiadomo – zdarzają się od czasu do czasu. Na tym odcinku zdecydowanie więcej niż w drugiej części obecnej dekady działo się w jej pierwszej połowie. Teraz te później dokonywane „oszczędności” się mszczą.

Piękna rzeka

W pierwszej połowie dziesięciolecia uruchomiono system monitoringu i osłony kraju, znany jako SMOK. Dzięki niemu Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej dużo sprawniej może ostrzegać o nadciągających niebezpieczeństwach. Zmodernizowano wiele zbiorników wodnych i retencyjnych oraz obiektów ochrony przeciwpowodziowej. M.in. w 2003 r. oddano polder Buków koło Raciborza. Zbudowano zbiornik Kuźnia Warężyńska, dzięki któremu przed niechcnymi podtopieniami chronione są miasta Będzin, Dąbrowa Górnicza, Mysłowice, Sosnowiec. To tylko przykłady.

Byłem na terenach powodziowych. Przejechałem z Warszawy na południe zachodnią stroną Wisły, przez Górę Kalwarię i Kozienice, potem przez most w Dęblinie i dalej na północ wzdłuż wschodniego brzegu rzeki, do Wilgi, a stamtąd przez Karczew i Józefów, już objazdem, bo szosa fragmentami zalana, na wtedy jeszcze otwarty Wał Miedzeszyński. Nie tylko rozlewa się woda przez nietrwale, w niektórych miejscach przerwane lub zbyt niskie wały, ale też pod wielkim ciśnieniem woda gruntowa wybija na powierzchnię, zalewając przy okazji pola i sady.

Tak właśnie jest wzdłuż wału ochronnego w Wildze, gdzie przebywałem parę powodziowych dni. Jakaż ta Wisła tu piękna! Szkoda, że też i groźna. I tu są rejony, które ucierpiały, choć gdzie indziej jest dużo gorzej. Tu poziom wody wręcz opada, ale i tak straty są znaczne, a będą jeszcze większe. Nie będzie zbiorów truskawek, mniej będzie jabłek, Złe będzie z wiklinowymi wyrobami, w których specjalizują się niektórzy lokalni rzemieślnicy, podtopione są niektóre gospodarstwa agroturystyczne.

Jakie to wszystko ma konsekwencje ekonomiczne? Lokalnie i regionalnie niekiedy wielkie, czasami katastrofalne, ale makroekonomicznie małe. Suma strat w skali całego kraju wstępnie szacowana jest na ok. 13 miliardów złotych, a więc ok. 1 proc. PKB. Nie można jednak strat liczyć w ten sposób, bo dodaje się tutaj zasoby (majątek) i strumienie (dochody).

Zasoby – w postaci utraconego majątku (na przykład obory, sady, maszyny, zapasy produktów). Strumienie – w postaci niepowstałych na bieżąco dochodów (nieuzyskane przychody ze sprzedaży, niezarobione płace, niezrealizowane zyski). Oczywiście ubytki w majątku produkcyjnym rzutować będą na dochody przyszłych okresów. Krowa, która dzisiaj utonęła, mleka nie będzie dawać i w następnych latach...

Nie sposób z góry ocenić, o ile mniejszy z tego powodu będzie PKB w 2010 r., a także potem, ale jest to frakcja punktu procentowego. Nie sądzę, by było to więcej niż 0,5 proc. To niemało, ale bez istotnego wpływu na długookresowe tendencje wzrostu. Obecna powódź w Polsce to nie trzęsienie ziemi w Kobe w roku 1995 czy tegoroczna tragedia na Haiti, które to kataklizmy miały wymiar rujnujący gospodarkę na wiele lat – regionalną w pierwszym i narodową w drugim przypadku.

Kataklizmy, biznes i polityka

W „Wędrującym świecie” (s. 143) piszę: „Nieszczęścia chadzą nie tylko parami, ale bywa, że i gromadą. Jakby mało było powodów biedy i nędzy, to wybrki natury w połączeniu ze słabą infrastrukturą i brakiem stosownych zasobów rzeczowych i finansowych wywołują dużo więcej szkód w krajach biednych niż w bogatych. Trzęsienie ziemi o takiej samej sile w Japonii i Pakistanie pociąga za sobą zgoła odmienne skutki w postaci ofiar w ludziach i strat majątkowych. Powódź w Czechach i Bangladeszu to inny kataklizm, nawet gdy w kategoriach fizycznych są to podobne wydarzenia. Susza w amerykańskiej Kalifornii i na meksykańskim Półwyspie Kalifornijskim to nie ta sama susza. Żywioty naturalne o potężnej sile mogą zaszkodzić dotkniętym nimi regionom w kraju rozwiniętym. Kraj mały mogą zdevastować i cofnąć go o lata w poziomie produkcji. Po kilku latach statystyki pokazują powrót do status quo ante, co uśrednia stopę wzrostu na stagnacyjnym zerze. Potężny huragan Andrew w 1992 roku kosztował USA 0,5 procent PKB. Huragan Gilbert w 1988 roku kosztował Jamajkę 28 procent PKB. To jedno uderzenie cyklonu spowodowało, że średnio podczas dwunastu lat 1990 – 2001 występowało ujemne tempo wzrostu –0,5 procent.”

U nas ta „para nieszczęść” powodująca, że ta polska „zielona wyspa” jest coraz bardziej zalewana, to niekorzystna aura i neoliberalna polityka gospodarcza rządu.

Jedną z konsekwencji powodzi są koszty ponoszone przez firmy ubezpieczeniowe. Takie „nadmierzające” wypłaty to akurat w tym biznesie rzecz zwyczajna. Powinny one dokonywać się poprzez umniejszenie doraznych, rocznych zysków firm, a nie obciążać innych, zwłaszcza ludność. Przecież poważni asekuranci prowadzą rachunek kosztów, przychodów i zysków w cyklach długoterminnych. Na tym polega biznes ubezpieczeniowy – skądinąd wcale lukratywny – że przychody od masy drobnych podmiotów płyną wartkim strumieniem cały czas, a tylko niekiedy trzeba dokonywać skumulowanych wypłat dla niewielu nieszczęśliwów. I to o nich trzeba się przede wszystkim troszczyć, a nie o interesy ubezpieczycieli, czym już martwią się niektórzy.

Teraz też chyba żaden kandydat na prezydenta nie powie poszkodowanym, jak uczynił to premier Włodzimierz Cimoszewicz podczas powodzi w 1997 r., że powinni się ubezpieczyć. Tamtą niezręczną wypowiedzią, nakładającą się na inne polityczne potknięcia, pogrążył własną formację w wyborach parlamentarnych 13 lat temu. I to mimo znaczących sukcesów gospodarczych, przede wszystkim najwyższego za ostatniego pokolenia tempa wzrostu gospodarczego, bo wynoszącego aż 7,5 proc. w kwartale poprzedzającym powódź.

Mimo to ówczesnie rządząca formacja przegrała wybory, bo w polityce liczą się nie tylko fakty, ale i słowa. Niekiedy nawet bardziej, z czego propagandyści obecnego rządu zdają sobie świetnie sprawę. Premier Donald Tusk – jakby nauczony tamtą wpadką – wręcz obiecuje, że „nikt nie zostanie bez pomocy, także osoby, które się nie ubezpieczyły”.

Mieszkańcy okolicznych wsi, których spotkałem na wiślanym wale w pobliżu Wilgi, inne mają w tej kwestii zdanie i powiadają, że głosować będą „nie na tych, co rządzą, ale chyba na brata albo najlepiej na tego »napierającego«, z lewicy, bo wie, co mówi”. Najpewniej słusznie wątpią w prawdomówność premiera („panie, oni tylko obiecują, nam tu nikt nic nie da”), bo przecież pomoc wszystkim nie sposób. Takie deklaracje to nic innego, jak tylko trwająca kampania wyborcza na rzecz partyjnego kolegi. A w niej trzeba wykorzystać wszystkie nadarzające się okoliczności. Także to powodziowe nieszczęście...

Co robić?

Podobną kwotę jak firmy ubezpieczeniowe wypłaca państwo. Transferowana jest do poszkodowanych w postaci zapomóg wynoszących jednostkowo 6 tys. złotych. W sumie – przy powściągliwym założeniu, że z zapomogi skorzysta ok. 100 tys. osób – daje to 0,6 miliarda złotych, czyli zaledwie 0,05 proc. PKB. Państwo, które w swoich finansach odczuwa takie wydatki jako nader dotkliwe, to słabe państwo.

I tak niestety jest.

Fatalna polityka gospodarcza rządu doprowadza do coraz szybszego i wyraźniejszego załamania się finansów publicznych. Podkreślić trzeba, że Komisja Europejska już wcześniej, zanim nadeszła fala powodzi, przewidywała deficyt systemu finansów publicznych w wysokości aż 7,2 proc. PKB. Spowodowane klęską żywiołową wydatki budżetowe 0,05, a może nawet 0,1 proc. PKB oraz mniejsze na podobną skalę dochody (z powodu ubytku wpływów z potencjalnego opodatkowania dochodów, które się nie ziszcza) mają relatywnie małe znaczenie. Innymi słowy przyrost deficytu budżetu spowodowany powodzią ma w naszych realiach marginesowe znaczenie. Jednakże z całą mocą – i ze względów politycznych przy pomocy prorządowych mediów z wielką przesadą – jego rozmiary będą wyolbrzymiane.

Dodatkowe wydatki z budżetu nie powinny być finansowane pogłębianiem skali deficytu, czyli powiększaniem coraz szybciej i tak nadmiernie już rosnącego długu publicznego, ale dodatkowymi, nadzwyczajnymi przychodami. Rząd powinien sięgnąć po specjalne jednorazowe instrumenty fiskalne w postaci swojego podatku solidarnościowego nałożonego na lepiej uposażone warstwy społeczeństwa, a co najmniej uciec się do akcyzy i przejściowo zwiększyć ją, aby w ten sposób pozyskać około miliarda złotych na doraźne (pomoc dla poszkodowanych) wydatki.

Podatek solidarnościowy winien być tak skonstruowany, by pozyskane środki służyły dofinansowaniu niezbędnych działań renowacyjnych – od Sandomierza po Wrocław, od Dębina do Płocka, od Podkarpacia po Żuławki. Szkody bowiem w niektórych regionach są tak duże, że nie uda się sfinansować ich usuwania i zapobiegania podobnym stratom w przyszłości środkami pochodzącymi z lokalnych budżetów samorządowych, skąpo tylko dofinansowywanymi z dziurawego budżetu centralnego.

Długa fala

Jeśli chodzi o działania długofalowe, to może tym razem miast iluzorycznych oszczędności zrealizowane zostaną do końca odpowiednie inwestycje infrastrukturalne, pokrywane poprzez montaż finansowy: część środków z budżetu państwa oraz z budżetów gmin, część z zasobów Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, część ze środków pomocowych Unii Europejskiej. Niestety, w tej sferze na zorientowany w naturalny sposób na maksymalizację zysku sektor prywatny w ogóle nie ma co liczyć.

Może choć to w końcu pojmą nadwiślańscy neoliberalowie? Może dotrze do nich szybciej niż fala powodziowa, że są obszary – również, choć nie tylko, na styku człowieka i gospodarki z przyrodą i naturą – w których aktywność gospodarza państwa jest niezbędna, gdzie interwencjonizm rządowy powinien być czymś oczywistym, gdzie wpraw „małe państwo i niskie wydatki” oznacza później mniejszy dochód i duże straty?

Przecież ta powódź raz jeszcze pokazuje, do czego prowadzi neoliberalna polityka „taniego państwa”, „małych podatków/małych wydatków”, pozostawiania spraw „niewidzialnej ręce rynku”, nieinterwencji w rynkowy żywioł, czekania za samoistne rozwiązanie problemów w istocie swej nierozwiązywalnych bez strategicznych działań państwa.

Co zaś do polityki przedwyborczej, to najlepiej dokonać wyboru prezydenta RP w ustalonym terminie. Przesuwanie tej daty poprzez korzystanie z pretekstu, jakim jest klęska żywiołowa na niemalym obszarze Polski, niczego dobrego do sprawy by nie wniosło. Istnieją dostatecznie funkcjonalne rozwiązania prawne o zarządzaniu kryzysowym, które umożliwiają administracji stosowne działania bez uciekania się do nadzwyczajnych regulacji o stanie klęski żywiołowej. W przypadku jego ogłoszenia środków rzeczowych nie przybędzie, a tylko dłużej trwałaby skądinąd dość jałowa kampania zalewająca nas słowotokiem, od którego stan rzeczy nie poprawia się ani na bieżąco, ani też nie poprawi się odczuwalnie w dającej się przewidzieć przyszłości. Jeśli nawet przesunięcie terminu prezydenckich wyborów mogłoby poprawić wciąż niezadowolające notowania tego czy innego kandydata, to z pewnością nie poprawi sytuacji społeczno-gospodarczej w Polsce. A przecież o to powinno chodzić, czyż nie?

Autor jest profesorem zwyczajnym ekonomii, wykładowcą w Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie, był wicepremierem i ministrem finansów w rządach premierów Pawłaka, Cimoszewicza, Oleksego i Millera

Rzeczpospolita